Rok VII. Kraków, Sobota 20 Września 1902. Nr. 38.

Cena prenumeraty z przesyłką:

w Austryi:

rocznie . . . . kor. 4.—
półrocznie . . . „ 2.—
kwartalnie . . „ 1.—

za granicą:

rocznie . . . . kor. 5.—
półrocznie . . . „ 2.60
kwartalnie . . „ 1.30
Pojedyńczy numer 10 hal.

Nieopieczętowane reklamacye wolne są od opłaty pocztowej

PRAWDA

pismo poświęcone sprawom religijnym, narodowym, politycznym, gospodarskim i rozrywce.

Prenumeratę oraz wszelkie korespondencye nadsyłać należy pod adresem:

Redakcya „Prawdy“ Kraków, ul. Kanonicza Nr. 7.

Biuro redakcyi otwarte codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel, od godz. 11—12 przedp. i od 3 — 4 popoł.

Rękopisów się nie zwraca. Nie przyjmuje się listów nieopłaconych.

„Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują“. Psalm 261.

Wychodzi co sobotę.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **X. Dr. Franciszek Gołba.**

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. | Módlmy się za Ojca św., Leona XIII.

Skąd można spodziewać się odrodzenia stanu rzemieślniczego i poprawy doli wieśniaczej?

W południowej stronie o milę od Krosna, znajduje się wieś Miejsce Piastowe. Wiele słyszałem o wychowawczym i kształcącym zakładzie dla chłopców, założonym przez ks. Markiewicza, proboszcza w Miejscu Piastowem; niedawno pewien adwokat zwiedziwszy ten zakład, następujące o nim powiedział zdanie: «Gdyby takich zakładów powstało kilka w naszym kraju, nastąpiłoby w krótkim czasie odrodzenie stanu robotniczo-rzemieślniczego i włościańskiego». Chcąc przekonać się, czy rzeczywiście tak jest, jak mówią, pojechałem do Miejsca Piastowego. Pogoda sprzyjała, jechałem z Krosna równiutkim gościńcem w stronę sinych Karpat trzy kwadranse. Wreszcie woźnica mówi: to zakład. Podnoszę oczy i widzę duży budynek na wyżynie pochylonej ku górom, ku słońcu. Skręcam w tę stronę wózek. Zaledwie wjechałem w obręb zakładu, wybiega dwóch chłopców, witają mię radośnie i pytają: może do księdza? Jeszcze nie zatwierdziłem pytania, aliści jeden bierze kuferek, drugi biegnie do księdza i oznajmia przybycie gościa. Była pora obiadowa. Ks. Markiewicz spożywał obiad ze swoimi wychowankami. Powitawszy mię uprzejmie, dodaje: dobrze, że przychodzicie w porę obiadową, gdyż zobaczycie refektarz i chłopców spożywających obiad. Zaciekawiła mnie ta radość ks. Markiewicza. Wchodzę więc do jadalni. Widzę stoły długie, proste, a przy nich dzieci i młodzieńców wesoło zjadających jakieś przysmaki. Mówię wyraźnie wesoło, gdy bowiem wszedłem, czterysta ócz bystrych, promiennych skierowało wzrok na mnie, dwieście twarzy zadowolonych zobaczyłem. Przy młodszych zasiadają starsi, klerycy z rzemieślnikami, a ze wszystkimi zwykle spożywa dary boże ks. Markiewicz. Dodaję uwagę, że jedli smacznie.

Spytacie może jakie potrawy? I ja zapytałem się mego czcigodnego przewodnika, który w te dalej mówi słowa:

Całe pożywienie jednej osoby kosztuje dziennie 7 centów. Na śniadanie spożywamy zupę, ziemniaki, niektórzy słabsi mleko, w niedzielę wszyscy dostają kawę. Obiad składa się również z zupy, mleka kwaśnego, fasoli. Na podwieczorek kawałek czarnego chleba z owocami, jeżeli je mamy. Kolacya podobna do obiadu. Całe utrzymanie kosztuje tylko 7 centów.

Trzymamy się zasady: powściągliwość i praca. Żyjemy skromnie, skromne potrzeby zaspakajamy dochodami z pracy, które wynoszą 5 tysięcy złr. rocznie, resztę uzupełniają dobrodzieje. Do zakładu przyjmuję biednych, sieroty, opuszczonych. Skoro postawiło się zasadę, że należy przyjmować biednych, to nie wypada pobierać opłat, gdyż prawdziwie ubodzy nie posiadają żadnego majątku. Zresztą pracują w duchu Ks. Boska, założyciela Zgromadzenia OO. Salezyanów, a zasadą, której trzymał się ten święty kapłan, było przestrzegać powściągliwości i pracować. Na tych dwóch podstawach można budować gmach szczęścia wszystkich ludzi, a także rzemieślników i robotników, których podniesieniu i umoralnieniu poświęcił się Ks. Bosko. Jak ksiądz Markiewicz urzeczywistnia zasadę Ks. Boska, przekonałem się w jadalni, a widok zdrowych, silnych i wesołych chłopców upewnił mię, że szczęście i zadowolenie szczere panuje w Zakładzie. Teraz zrozumiałem, dlaczego ks. Markiewicz mówił: dobrze, że przybywacie w czasie obiadu.

Opuściwszy budynek, w którym znajduje się jadalnia i sypialnia, a który sami wychowankowie wybudowali, t. j. nakreślili plan, zrąbali drzewo w lesie, zwieźli, uciosali i piękny podmurowany dom złożyli, rozglądałem się teraz swobodnie, aby nabrać wyobrażenia o całości zakładu.

Kilkanaście metrów od wspomnianego domu drewnianego, wznosi się olbrzymi budynek murowany, wartości 60 tysięcy złr. Dalej zabudowania gospodarcze, ogród, cieplarnia, szmat pola kilkumorgowy, który jest własnością zakładu, dalej szkółka owocowa, pasieka i t. d. Korzystając z gościnności gospodarza, zwiedzałem dokładnie i ten wielki budynek, rozmawiałem z młodzieżą, o czem napiszę w następnym numerze. Ks. Markiewicz wyjaśniał sposób wewnętrznego urządzenia, kierunek duchowy, korzyści z nauki, skąd przybywają wychowankowie, wreszcie nakreślił plan przyszłej pracy i rozwoju zakładu. W słowach, w przejęciu się całem dziełem Czcigodnego założyciela ks. Markiewicza, widniało to przekonanie, że zakład jest dziełem Bożem i że pewnie istnieć i rozwijać się będzie.

(Dokończenie nastąpi).

Wiadomości z ziem polskich.

Poznań. W czasie pobytu cesarza niemieckiego w Poznaniu, przybyła także rosyjska deputacya wojskowa z generał-gubernatorem warszawskim Czertkowem na czele, aby powitać cesarza. Z tej tedy okoliczności ogromnie gazety niemieckie tryumfowały twierdząc, że jak najserdeczniejsza przyjaźń łączy Niemcy i Rosyę. Tymczasem z Petersburga gazety otrzymały wiadomość, że cesarz niemiecki gorąco błagał cara w czasie zjazdu w Rewlu, aby w dniach jego pobytu przybyła także do Poznania deputacya tych pułkowników rosyjskich, których on jest honorowym naczelnikiem. Car uczynił zadosyć prośbie cesarza i deputacyę wysłał. Obecność tedy oficerów rosyjskich w Poznaniu niema żadnego znaczenia politycznego i wojskowego. Wiadomość ta ogromnie jest nie na rękę Prusakom, którzy pragną, aby ich cały świat wielbił i bał się i łajdacką politykę względem Polaków pochwalał.

Częstochowa. Przed paru dniami wybuchły w Częstochowie zaburzenia dość poważne, o których jednakowoż tylko bardzo skąpe mamy wiadomości. Zwrócone zaś były przeciw żydom. A powód ich był taki: Staruszka 70-letnia zakupiła u straganiarza beczkę śliwek, które przy rozebraniu beczki okazały się zgniłemi. Staruszka, która przy swym podeszłym wieku była także ułomną, wróciła się zaraz do żyda, handlarza, i domagała się zwrotu pieniędzy mówiąc: »śliwek nie wezmę, gdyż wszystkie prawie przegniły«. Żydzisko chciwe na pieniądze, jak dyabeł na duszę, ani słyszeć nie chciał o zwrocie pieniędzy. Ułomna babina, jak może, tłómaczy, aby żyda przejednać, lecz wszystko okazało się daremnem. Przyszło więc do sprzeczki. Żyd począł krzyczeć, co mu tylko gardła stało. Broniła się również i staruszka, wymyślając straganiarza. Na wrzask handlarza zbiegli się chmarą żydzi, a widząc między sobą chrześcijankę, rzucili się na nią jak wilcy i nuż popychać, bić i katować. Starowina upadła na ziemię, a w końcu pod razami zajadłego żydostwa omdlała, mówiono nawet, że Bogu oddała ducha. Tymczasem zbierało się coraz więcej chrześcijan, którzy widząc staruszkę pod nogami żydów, poczęli się za biedną ujmować. Lecz żydzi wszystkim arogancko pokazywali swe zęby. Przebrała się też miarka. Chrześcijanie więc, których liczba ogromnie wzrosła, wieść bowiem: »żydki zamordowali chrześcijankę« przebiega całe miasteczko, wzruszając wszystkich, rzucili się na żydów i poczęli bić winny, czy niewinny.

Ulice miasteczka zaległa ludność: tu lecą kamienie, tam warczą kije, tam znów brzęczą porozbijane szyby, albo też całe chmury unoszą się pierza, wypuszczonego żydom z pierżyn. Po domach i sklepach zaś uwijają się chrześcijańscy robotnicy, niszczą i rabują, co im tylko w rękę wpadnie. Istna wojna.

W piątek wczas rano, koło 3-ciej godziny, zjawiają się na koniach kozacy, którzy z nahajkami w rękach wpadają wpośród uganiającą się ludność. Pod nahajkami legły zaraz trupem 2 osoby, 12 zaś tak zbito, że wątpliwem jest, czy pozostaną przy życiu. Aresztowano ogółem 100 osób, między którymi jest 2 księży. Koło południa nadciągło jeszcze więcej wojska z Piotrkowa, Radomska i t. d. Gubernator piotrkowski był sam na miejscu, przybył także nadprokurator z Warszawy. Popołudniu miasto się już uspokoiło. Ulicami tylko przeciągało wojsko na koniach a żandarmi i policyanci prowadzili przed sobą robotników, których zebrali w mieszkaniach i we fabrykach.

Morskie Oko. Spór, jaki toczył się między Galicyą a Węgrami o Morskie Oko, zakończył się pomyślnie dla nas. Sąd polubowny, który tę sprawę roztrząsał, wydał tymi dniami wyrok w Gracu, mocą którego przysądził Galicyi 900 morgów spornego terytoryum a 20 morgów tylko Węgrom.

Sprawa Morskiego Oka, które nieprawnie chcieli nam wydrzeć Węgrzy, zaprzątała od dłuższego czasu umysły Polaków. Morskie Oko bowiem należy do najpiękniejszych zakątków naszej pięknej ziemi Polski. To też myśl wszystkich Polaków zwróconą była tymi dniami na Grac, gdzie sąd polubowny sprawę tę rozstrząsał.

Wyrok ogłoszono 14 b. m., który napełnił serca

nasze radością i weselem. W Zakopanem na wiadomość o pomyślnym wyroku, urządzono pochód z pochodniami, w którym wzięło udział koło 300 osób. Wśród śpiewów uroczystych kroczono wesoło po ulicach i śpiewano naprędce ułożony wierszyk:

»Jeszcze Polska nie zginęła
Górą plemię lasze;
Dobra sprawa górę wzięła:
Morskie Oko nasze«.

Przed kościołem zaś, gdzie pochód się zatrzymał, odśpiewano z zapałem »Boże coś Polskę«.

Wiadomości z całego świata.

Austrya-Węgry. Koerber, prezes austryackich ministrów, w niemałych znajduje się opałach, gdyż parlament ma być lada dzień zwołany, a on jeszcze nie zawarł umowy z Węgrami, którąby mógł przedłożyć parlamentowi do zatwierdzenia.

Na drodze stanęli mu Czesi, którzy zapowiadają obstrukcyę, aby tylko do zawarcia ugody nie dopuścić a przez to Koerbera obalić oraz cały jego gabinet, w którym zasiada aż dwóch ministrów zdeklarowanych wrogów Słowian. Niełatwy to orzech dla prezesa ministrów. Czesi zostali pokrzywdzeni, gdyż Niemcy wydarli im prawa językowe i na każdym kroku inne prawa im wydzierają. Czesi tedy bronią praw swego języka, oraz postawili zasadę, że Austryą nie sami tylko rządzić mają Niemcy, lecz wspólnie wszystkie narodowości, które w skład Monarchii wchodzą.

Niemcy. W całem państwie niemieckiem żalą się no drożyznę mięsa. Zewsząd też napływają petycye do rządu o otwarcie granicy. Rząd jednakowoż ani słyszeć nie chce, aby granicę miał dla przewozu bydła zagranicznego otworzyć i twierdzi, że drożyzna mięsa w Niemczech jest tylko przejściową.

Hr. Pükkler, głośny pogromca żydów, o którym już nieraz wspominaliśmy, przemawiał znów tymi dniami publicznie. Na zebraniu było do 2000 osób. Pükklera witano gorąco oklaskami, który nadzwyczaj ostro przeciw żydom przemawiał, dowodząc, że na żydów jeden jest tylko sposób, aby ich krótko trzymać. Na sali była moc urzędników, lecz nie mieli powodu do rozwiązania zgromadzenia.

Włochy. Niektóre gazety włoskie donoszą, że niezadługo odbędą się zaręczyny rosyjskiego następcy tronu, Wielkiego Księcia Michała, z jedną z księżniczek włoskich. W przyszłym miesiącu ma podobno przybyć rosyjski następca do Rzymu.

Ameryka. W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej zastrejkowali robotnicy w kopalniach węgla. Strejk ogarnia coraz większe kręgi robotników i przybiera charakter anarchistyczny. Niedawno robotnicy zniszczyli urządzenia jednej kopalni. Węgiel ustawicznie drożeje. Tona kosztuje już 15 dolarów, przeszło 60 koron.

Dwie planety.

W pogodny wieczór, zaraz po zachodzie słońca, w stronie południowej, świeci śliczna, jasna gwiazda, najjaśniejsza ze wszystkich, jakie obecnie mamy na niebie. Jest to planeta Jowisz, największa ze wszystkich ciał niebieskich, krążących naokoło słońca. Jest ona 1390 razy większą od ziemi, ale dla tego małą nam się wydaje, gdyż odległość jej od nas wynosi średnio 80 milionów mil.

Od słońca odległą jest na 105 milionów mil, to też potrzebuje 12 lat czasu, aby je obiedz; sama zaś obraca się około swej osi niezmiernie szybko, bo tak ogromna kula w dziesięciu godzinach już się obróciła. Więc dzień i noc trwają tam po 5 godzin. Pór roku niema, niema ani lata, ni zimy; jest tam tylko przez cały rok jedna wieczna wiosna i nie tak może piękna jak nasza, gdyż w takiej oddali słońce wydaje się 25 razy mniejsze, to też świeci i grzeje 25 razy słabiej. Że jednak te promienie dobrze go oświecają, poznać stąd, że Jowisz jest najwspanialszą gwiazdą na naszem niebie. Patrząc przez silnie powiększające szkła, n. p. przez lunetę, widać na nim ciemne pasy, które astronomowie uważają za chmury na Jowiszu.

Taki pan wielki jak Jowisz, bez służby się nie obejdzie, ma więc 5 księżyców, z których dwa są większe od naszego. Gołem okiem dojrzeć ich nie można, lecz wystarczy lunetka, 20 razy powiększająca. Ruchy tych księżyców posłużyły astronomowi duńskiemu, Roemerowi, do odkrycia chyżości światła. Mianowicie obliczył on, że światło na jedno klaśnięcie w dłoń, czyli jedną sekundę przebiega 41 tysięcy mil. Podczas jednej nocy świeci na tej planecie naraz kilka księżyców, jedne wschodzą, drugie zachodzą, również zaćmienia ich zdarzają się codziennie. Największy księżyc ma 750 mil średnicy; okrąża swego pana w ciągu 7 dni i znajduje się od niego w odległości 143 tysięcy mil. Jeżeli Jowisz posiada jakie żyjące istoty, to muszą one być zgoła odmienne od ziemskich. Przypuszczać jednak tak możemy, gdyż mądrość Boska niczego na próżno nie stworzyła. Ziemia, którą zamieszkujemy, jest we wszechświecie maleńką gwiazdką, a jednak, co za różne stworzenia ją zamieszkują. Czyż ziemia nasza, ten drobny pyłek, miałaby być uprzywilejowaną? Kolosa takiego jak Jowisz, Bóg bez stworzeń i życia pewnie nie zostawił, a istoty na Jowiszu zadają sobie może to samo pytanie, patrząc na naszą ziemię.

Drugą widzialną planetą jest Saturn, znajdujący się w prostej linii przed Jowiszem, na prawo

od niego. Oddalony od słońca przeszło 190 miljonów mil, zakreśla koło wielkie, obiegając słońce w 30 latach. Rok więc trwa tam 30 lat naszych. Około swej osi obraca się w 10 godzinach, a pory roku wynoszą tam nie jak u nas po 3 miesiące, ale 7 lat. Ciepło i światło słoneczne jest już 100 razy słabsze jak na ziemi, panuje więc tam wieczny mrok i zimno, i istoty żyjące albo zupełnie nie istnieją, lub są na nizkim stopniu rozwoju. Najciekawszą planetą jest Saturn, a to dlatego, że koło niego krąży pierścień 200 km. grubości, a 62.500 km. szerokości, więc n. p. ziemia wygodnie po tym pierścieniu toczyćby się mogła.

Saturn posiada 8 księżyców, wygląga więc jak kwoka z kurczętami. Gołem okiem nie widać ani pierścieni ani księżyców, potrzeba na to silnego teleskopu. Szanownym czytelnikom polecamy gorąco do czytania książkę p. t. «Astronomia» przez K. Flammariona, wydaną przez Macierz Polską we Lwowie.

Rozmowa Jana z Walkiem.

— Jak się macie miły Walku? — przemówił stary Jan.

— Dosyć dobrze, dzięki Bogu! — odrzekł Walek Pieróg. — Praca idzie mi dosyć gładko, w domu wszyscy zdrowi, to i czegóż sobie życzyć?

— Oprócz tego wszystkiego — powie Jan — powinniście sobie jeszcze czegoś życzyć więcej, czego wam niedostaje.

— A to znowu czego? — zapytał Walek.

— Otóż moi mili! — rzekł Jan — mówią ludzie, żem stary gaduła i każdemu coś muszę zarzucić... Nie wchodzę w to zupełnie, czy jestem gadułą, czy nie, ale wam powiem otwarcie, że się mi nie bardzo podoba w waszej chacie, bo wszędzie pełno nieporządku. Kobietę macie młodą, to powinna lepiej dbać o porządek. Gdy wejdziesz do chaty, wszystko znajdziesz w wielkim nieładzie, wszystko porozrzucane, że aż nie miło patrzeć.

— A przecież to złe nie tak wielkie — zagadnął zmieszany Walek.

— Ba, jak się komu wydaje, u mnie porządek trzyma pierwsze miejsce — odrzekł z naciskiem Jan stary. — Przyznacie mi przecie, że czas dla ludzi jest wielkim skarbem, bo czas płaci, czas traci. Dlatego to Anglicy cenią sobie czas nadzwyczajnie i podług czasu każą sobie swoją pracę wynagradzać. Kto nieporządny, zarzuca łatwo swoje rzeczy, a nim je odszuka, ileż to marnuje drogiego czasu! Kto nieporządny, niszczy swoje zdrowie, niszczy swoje mienie, dlatego też dobrze powiedział pewien uczony, że kto lubi porządek, ma pewnie i rozum. Dlatego to mój miły Walku, cenię każdego, kto jest za porządkiem, a brzydzę się każdym, kto jest nieporządnym.

— Oj prawdę mówicie, mój Janie! — odezwał się Walek — że moja jest nieporządną kobietą. A co ja się jej nagadam, naproszę, ale to wszystko jej nie odmieni. Stąd weźmie, tu położy i nieraz giną rzeczy, bo nie wie, gdzie położyła. Więc prawdę mówicie, że nieporządek niszczy mienie.

— A i zdrowie — dodał Jan — bo nieporządny nie dba wiele o to, jak je, śpi, co pije i jak się ubiera; bo taki człowiek nie ma smaku i gustu... Gdyby wasza kobieta była porządną gospodynią, toby miała u siebie zamiecioną izbę, czystą pościel, czysto chodziłaby ubraną — przecie przyznacie mi sami, że aż wstyd bierze spojrzeć na tę kobietę, bo i brudna, nie umyta, nie uczesana, a to szkodzi zdrowiu. A zajrzyjcie no na podwórko, jaki to tam nieporządek! Tu gnoju pełno; pod oknami stoi gnojówka, to też jakże może być koło tej chaty zdrowe powietrze, które niechybnie przyczynia się do zdrowia naszego — jakże może być przyjemnie mieszkać w takiej chacie? Mówicie, że praca idzie wam gładko, że nie pragniecie niczego więcej, a nie staracie się usilnie, by mieć porządek w chacie. Uczcie tedy waszą żonę, niech każdą rzecz kładzie na swojem miejscu, niech przestrzega ochędóstwa, a nie poniesiecie straty, nie nadwerężycie waszego zdrowia i pokażecie, że macie rozum, a o waszej żonie nikt nie powie, że nieporządna kobieta.

— Zmartwiliście mnie mój Janie, nie pomału — wtrącił Walek — ale mam nadzieję, że mi już drugi raz nie będziecie mówili o nieporządku, bo wcale u mnie będzie inaczej. Żona młoda da się nakłonić, gdy jej sam będę świecił dobrym przykładem.

— Wierzę wam, miły Walenty! — powiedział Jan stary — że zrobicie wedle mojej rady. W końcu spamiętajcie sobie następujące słowa:

Nieład i nieochędóstwo
Rodzi w ciele chorób mnóstwo;
Nieład niszczy nasze mienie,
Ład więc, Walku, ma znaczenie!

Józef z Bochni.

Jak parobek wykierował żyda?

Różnych ludzi chowa Pan Bóg na tej ziemi. Są uczeni i poważani, ale czasem znajdują się i prości, którzy niejednego w pole wyprowadzą. Do tych właśnie należy Bartek Struga. Już to prawdę mówiąc, dużoby trzeba przejść ziemi, aby znaleść drugiego takiego filuta. Gdy się zbiorą ludzie, to już mu gęba nie stanie; kłapie i kłapie, a wszystko śmiesznie i żartobliwie, że się ludzie za boki trzymają od śmiechu i wesołości. A gdy komu wypłata figla, to się dopiero ma spyszna.

Raz zeszedł się przed młynem z Frankiem Ciurkiem i zaraz mówi do niego:

— No i cóż tam słychać u ciebie?...

— Nic nowego, mój kochany! — powie Franek — jeno myślę nad tem, jakby się przysłużyć naszemu żydowi w karczmie?.... Dobrze, żem cię spotkał!...

A Bartek powie na to:

— A za cóż chcesz dokuczyć żydowi, czy ci co złego zrobił?

— Pewnie — rzekł Franek — mam na niego chrapkę!

— My mu już poradzimy! — powiedział Bartek. Chodźmy do karczmy!

Wszedłszy do szynkownej izby, zastali kilku gospodarzy, którzy coś tam popijali, a przed szynkwasem stał Abramek i nalewał do szklanek piwo.

Wszczęła się wnet żywa pogadanka; Bartek żartuje i żartuje, aż nareszcie żyd tak powiada do niego:

— Już tam mnie nie będziesz za nos wodził! Nie twoje doczekanie!

— A jak was zajdę z mańki? — spyta Bartek.

— Nie urosłeś do tego! — powie żyd. — To się nie stanie nigdy na świecie!...

— A jak się stanie?

— To funduję cały wieczór dla tych wszystkich, co tu siedzą... będzie piwo i gęsina...

— Na prawdę?

— Na prawdę, na moje sumienie! Będzie świadkiem stary Marcin. Prawda Marcinie? — dodał żyd rozdąsany.

— A kiedy chcecie, by wam wypłatać figla? — zagadnął Bartek.

— Kiedy ci się podoba! — dodał żyd już niechętnie.

— Dobrze, będę świadkiem — wtrącił Marcin — ale niech to będzie nie za długo!...

— Może być jutro! — zawołał z uśmiechem Bartus. — Pamiętajcie więc, moi gospodarze — mówił, zwracając się do nich — że albo ja, albo Abramek będzie płacił!... Ale prędzej na niego padnie!

— Przystajemy! — rzekli gospodarze.

I na tem skończyła się sprawa. Bartek z Frankiem poszli z karczmy i uradzili drogą, by o tej a o tej godzinie zejść się na jarmarku. Bartek poszedł w jedną, Franek w drugą stronę.

Nazajutrz wczas rano przyszedł Bartek przed karczmę, a widząc, że jeszcze w niej ciemno, wlazł cichaczem do stajni, wyprowadził krowę, a potem puka do okna i woła:

— Abramku! wstawajcie, bo już czas do miasta!

Abramek zerwał się na równe nogi, wdział ubranie i wybiegł prędko z izby.

— Bartus! napij się wódki na szczęście! — powiedział, przecierając oczy.

— Nie mogę odejść krowy! — bąknął Bartek — wynieście tu przed karczmę!

Żyd spełnił wolę Bartka. Niebawem zabrał swoje rupiecie i ruszyli w drogę. Na dworze ledwie świtało.

— I nie żal ci to krowy? — rzekł Abraham do Bartka.

— Cóż mam robić, potrzebuję pieniędzy! — Tylko to bieda, że ja niemam szczęścia do sprzedaży... A niech mię jeszcze Franek spotka, któremu jestem winien kilka reńskich, to będzie bal gotowy...

— To ja cię wyręczę — powie Abram, nie domyślając się niczego.

— E żebyście to tak byli dobrzy!...

— A dasz co za fatygę?

— Dam trzy reńskie, jeśli tyle weźmiecie, co żądam...

— Zgoda! — wykrzyknął żyd i uderzył w Bartkową rękę.

Niebawem przybyli do miasta. Bartek powierzywszy krowę Abramowi, odszedł niby za sprawunkami, by się nie spotkać z Frankiem.

W tem nadchodzi Franek i spotyka Abrama.

— Cóż to, macie krowę do sprzedania?... Właśnie mi potrzeba krowy...

— A to kup odemnie; tanio ci sprzedam jeżeli dasz gotówką!...

— Ale zdaje mi się, że to Bartkowa krowa — mówi Franek, oglądając ją dokoła. Dał wam ją na sprzedaż...

— Co ci się też roi w głowie? — fuknął Abram. Jabym sprzedawał Bartkową krowę?... Czegóż jeszcze nie stało! Czyś oszalał?

— A kiedy tak, to kupię! — odpowiedział Franek i wyrachował na rękę Abrama żądaną kwotę.

Wnet potem wypędził krowę.

Wkrótce nadbiega Bartek i mówi do żyda:

— No, i cóż, sprzedana krowa?

— Sprzedana!

— A to wybornie! Dajcie pieniądze! Za fatygę macie trzy reńskie, a wieczór się zobaczymy! Do widzenia!

Abram ucieszony, że w krótkim czasie tak pomyślny miał zarobek, szedł wielkimi krokami i myślał sobie:

— Jaki ten Bartek głupi, on mnie będzie uczył rozumu?... Tfu! na to ciasna jego głowa!...

Bartek zaś zeszedł się z Frankiem i śmiejąc się na całe gardło, powiada do niego:

— A to głupie żydzisko! Dopierośmy go zajechali!...

Gdy zaś wieczór przyszli do karczmy, śmiechowi i żartom nie było końca. Żyd klął bez ustanku, lecz musiał dawać napitek i przekąskę, bo Bartek miał pieniądze w kieszeni a Franek krowę w swojej stajni.

A stary Marcin tak się odzywa:

— Ot udało się Bartku! Ale stokroć byłoby lepiej, żeby włościanie innemi sposobami nie dali się okpiewać żydom!... Ale tu potrzebny rozum, nam go koniecznie potrzeba, bo nas żydzi za nos wodzą... Rozumu jednak nam brakuje duchem, a to bieda wielka!...

Nazajutrz oddał Franek żydowi krowę, gdy Bartkowi oddał na jarmarku wzięte pieniądze. Abramek trząsł się ze złości, że tak głupi zrobił interes.

— Odbeczą za to inni! — mruknął pod nosem. — Żeby was licho porwało, że ja nie poznałem mojej krowy! I jeszcze dałem wódki!

Oj kiedyż to nastaną czasy, że żyd nie będzie mógł być pijawką chłopa?... Nauki, nauki! a będzie inaczej! *Józef z Bochni.*

Bitwa pod Grunwaldem

przez

Henryka Sienkiewicza.

(Ciąg dalszy).

Bitwa miała tuż, tuż nastąpić.

Mistrz spoglądał tymczasem na wojska królewskie, które wysuwały się z boru.

Patrzał długo na ich ogrom, na rozpostarte jakby u olbrzymiego ptaka skrzydła, na poruszaną wiatrem tęczę chorągwi i nagle serce mu się ścisnęło jakiemś nieznanem, strasznem uczuciem. Może ujrzał oczyma duszy stosy trupów i rzeki krwi. Nie lękając się ludzi, może zląkł się Boga, trzymającego już tam na wysokościach niebios szale zwycięstwa.

Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, jaki to okropny nastał dzień, i po raz pierwszy uczuł, jaką niezmierną odpowiedzialność wziął na swoje ramiona.

Więc twarz mu pobladła, wargi poczęły drżeć a z oczu puściły się obfite łzy. Komturowie ze zdziwieniem spoglądali na swego wodza.

— Co wam jest, panie? — zapytał hrabia Wende.

— Zaiste stosowna to do łez pora! — ozwał się okrutny Henryk, komtur człuchowski.

A wielki komtur, Kuno Lichtenstein, wydął wargi i rzekł:

— Otwarcie ci to naganiam, Mistrzu, bo ci teraz podnosić serca rycerzy, nie zaś osłabiać przystoi. Zaprawdę, nie takiegośmy cię przedtem widywali.

Lecz Mistrzowi wbrew wszelkim wysiłkom spływały tak ciągle łzy na czarną brodę, jakby w nim płakał kto inny.

Wreszcie pohamował się nieco i, zwróciwszy surowe oczy na komturów, zawołał:

— Do chorągwi!

Więc skoczyli każdy do swojej, bo bardzo potężnie przemówił, a on wyciągnął rękę do giermka i rzekł:

— Daj mi hełm.

Już serca w obu wojskach biły jak młoty, ale trąby nie dawały jeszcze znaku do boju.

Nastała cięższa może od samej bitwy chwila oczekiwania. Na polu, między Niemcami a armią królewską, wznosiło się od strony Tannenberga kilka odwiecznych dębów, na które powłazili chłopi miejscowi, aby patrzeć na zapasy tych wojsk olbrzymich, jakich od niepamiętnych czasów świat nie widział. Lecz prócz tej jednej kępy całe to pole było puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne. Chodził tylko po niem wiatr, a nad niem unosiła się śmierć. Oczy rycerzy zwracały się mimowoli na tę złowrogą, milczącą równinę. Przelatujące po niebie chmury przesłaniały od czasu do czasu słońce, a wówczas padał na nią mrok śmiertelny.

Wtem wstał wicher. Zaszumiał w lesie, oberwał tysiące liści, wypadł na pole, chwycił suche źdźbła traw, wzbił tumany kurzawy i poniósł je w oczy wojsk krzyżackich. W tej również chwili wstrząsnął powietrzem przeraźliwy głos rogów, krzywul, piszczałek i całe skrzydło litewskie zerwało się nakształt niezmiernego stada ptactwa do lotu. Poszli odrazu wedle zwyczaju w skok. Konie, wyciągnąwszy szyje i potuliwszy uszy, rwały ze wszystkich sił przed siebie; jeźdźcy, wymachując mieczami i sulicami, lecieli z krzykiem okropnym przeciw lewemu skrzydłu Krzyżaków.

Mistrz właśnie znajdował się przy niem. Wzruszenie jego już przeszło, a z oczu szły mu zamiast łez, skry. Ujrzawszy więc rozpędzoną ćmę litewską, zwrócił się do Frydrycha Wallenroda, który na tej stronie dowodził, i rzekł:

— Witold pierwszy wystąpił. Poczynajcie-że i wy w imię Boże!

I skinieniem prawicy ruszył czternaście chorągwi żelaznego rycerstwa.

— Gott mit uns! — zakrzyknął Wallenrod.

Chorągwie, zniżywszy kopie, poczęły z początku iść krokiem. Lecz równie jak skała stoczona z góry, spadając, coraz większego pędu nabiera, tak i one: z kroku przeszły w rysią, potem w cwał i szły straszne, niepohamowane jako lawina, która musi zetrzeć i zdruzgotać wszystko przed sobą.

Ziemia jęczała i gięła się pod niemi.

Bitwa miała lada chwilę rozciągnąć się i rozpalić na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń św. Wojciecha. Sto tysięcy pokrytych żelazem głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

«Boga-Rodzica, Dziewica,
«Bogiem sławiona Marya!
«U Twego Syna, Hospodyna,
«Matko zwolona, Matko jedyna

«Ziści nam — spust winom!...
«Kyrie Elejson!...

I wraz moc zstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna zwycięska siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie. Zadrgały kopie w rękach rycerzy, zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać, i jakby powtarzać jeziorom i łęgom i całej ziemi, jak długa i szeroka.

«Ziści nam — spust winom!...
«Kyrie Elejson!...

A oni śpiewali dalej:

«Twego Syna Krzciciela, zbożny czas.
«Usłysz głos, napełnij myśli człowiecze;
«Słysz modlitwę, jenże Cię prosimy:
«To dać raczy, jego prosimy:
«Daj na świecie zbożny pobyt
«Po żywocie rajski przebyt,
«Kyrie Elejson!

Echo powtórzyło w odpowiedzi: «Kyrie Elejsooon!» — a tymczasem na prawem skrzydle wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi coraz bardziej.

Łoskot, kwik koni, krzyki okropne mężów mieszały się z pieśnią. Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym ludziom zabrakło tchu, i w jednej z takich przerw raz jeszcze można było usłyszeć grzmiące głosy:

«Adamie, ty Boży kmiecu,
«Ty siedzisz u Boga w wiecu,
«Domieść nas, swe dzieci,
«Gdzie królują święci anieli!
«Tam radość,
«Tam miłość,
«Tam widzenie Twórca, anielskie, bez końca...
«Kyrie Elejson...

I znów runęło echo po borze: «Kyrie Elejsooon!» Krzyki na prawem skrzydle wzmogły się jeszcze, lecz nikt nie mógł ni wiedzieć, ni rozeznać, co się tam dzieje, albowiem Mistrz Ulrych, który patrzał z góry na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzą Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków.

A zaś do polskiego hufca «czelnego», w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypadł jak grom Zyndram z Maszkowic, i ukazawszy ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, zakrzyknął tak donośnie, że aż konie poprzysiadały w pierwszym szeregu na zadach!

— W nich! Bij!

Więc rycerze, pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnąwszy przed się włócznie, ruszyli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Tylko jednę koronę żądamy za „Prawdę" odtąd do końca roku bieżącego od **nowych** prenumeratorów.

Prosimy podawać „Prawdę" znajomym, bo ona szerzy oświatę zdrową. Pieniądz wydany na dobre pismo nie jest stracony.

Zalegających z prenumeratą prosimy o rychłe wyrównanie należytości.

Rozwój czytelni w Raciborowicach. Nadzwyczaj ruchliwe Stowarzyszenie Oświaty ludowej, zwłaszcza członkowie jego Zarządu, osobliwszą w tym roku uwagę zwrócili na stan i położenie czytelni ludowej w Raciborowicach. Już od roku 1883 istnieje tu biblioteka, założona przez Towarzystwo Oświaty ludowej w Krakowie. Początkowo kierownictwo czytelni, która ma pomieszczenie w budynku szkolnym, prowadzili tutejsi kierownicy 2 klasowej szkoły z dobrym skutkiem i powodzeniem. Lud zachęcony, gorliwie garnął się do czytania pożytecznych i pięknych patryotycznych książek. W niedziele schodził się do szkoły na pogadanki i czytanie gazet. Od kilku lat ostatnich, niewiadomo z jakiej przyczyny, ruch i zajęcie się sprawą czytelni znacznie osłabło — rzadko kto pożyczał książki. Dopiero w tym roku Zarząd Tow. Oświaty rozesłał do gmin tntejszego powiatu kwestyonarynsz z zapytaniem, jak się rozwijają czytelnie. Tutejszy p. kierownik zdał dokładnie sprawę z rozwoju czytelni i okazał gotowość przyjęcia przewodnictwa w tejże, skoro biblioteka zostanie wzbogacona nowemi książkami. Zarząd Oświaty ludowej chcąc podnieść chylącą się do upadku czytelnię, nadesłał na ręce p. kierownika, Karola Kozłowskiego, 85 książek piękuych treścią i równocześnie zachętę, aby czytelnią odtąd kierował. Opiekę zaś czyli protektorat nad czytelnią raczył przyjąć nasz ks. kanonik Walenty Dziatkowiec. Ponieważ nowych książek nie miano gdzie umieścić, wójtowie 5 gmin do szkoły przynależnych, zakupili dużą szafę, którą w budynku szkolnym pomieszczono. Spodziewać się należy, że czytelnia zbudzona z uśpienia wejdzie na inne tory. Lud nasz niezarażony socyalizmem chętnie będzie korzystał z dzieł poważnych, chętnie też będzie się schodził do czytelni, gdzie niejednę pożyteczną gazetkę ludową przeczyta. Przytem będą się odbywały pogadanki popularne z zakresu spraw najważniejszych tak socyalnych, jak naukowych i patryotycznych. Tutejsi księża przyrzekli pomoc w rozwoju czytelni wspólnie z p. Kozłowskim, znanym w naszym powiecie z gorliwej a skutecznej pracowitości w wychowaniu i kształceniu dziaty wiejskiej.

Czytelnik „Prawdy".

C. k. Dyrekcya kolei ogłasza: Rozkład jazdy w obrębie c. k. Dyrekcyi kol. państw. w Krakowie ważny od 1. maja b. r. pozostaje, po zastanowieniu ruchu pociągów sezonowych, uwidocznionych w plakacie rozkładu jazdy Nr. V, ważnym także na porę zimową 1902—1903 rozpoczynającą się z dniem 1. października b. r.

Jak socyaliści wywiedli w pole publiczność krakowską? Na kilka dni przed niedzielą dnia 14 b. m. ukazały się olbrzymie plakaty z zawiadomiem, że związek zawodowych stowarzyszeń urządza wielki festyn w niedzielę. Jeżeli barwa zielona liter nie dozwalała przypuszczać, że za tą niewinną odezwą kryją się socyaliści, to zapowiedź, że festyn będzie trwał od godziny 9 rano, a więc w czasie nabożeństw w katolickich kościołach powinna wskazywać, że tu żydowsko-socyalistyczna robota w grę wchodzi. Niestety nasza publiczność tak mało obeznana z ruchem społecznym, iż nie wie, że nie istnieje w Krakowie katolicki związek stowarzy-

szeń zawodowych, lecz socyalistyczny, a zresztą związek stowarzyszeń katolickich zawsze zaznacza pnblicznie, że jest „katolicki“. Z braku tego dodatkn wyjaśniającego charakter wyznaniowy związku powinni byli wszyscy domyśleć się, że socyaliści podstępnie odwodzą katolicki lnd od nabożeństwa, i że podstępnie wyławiają grosz od tej burżuazyi, przeciwko której tak często piorunują w „Naprzodzie“. Szczególnie powinien baczyć zarządca teatru ludowego, że cechą naszego ludu jest przywiązanie do nabożeństwa niedzielnego, i że nie należy brać udziału w festynach socyalistycznych. Nie małą winę zaciągnęły także nasze dzienniki, że na czas nie ostrzegły publiczności, aby nie wspierała groszem i nie popierała swą obecnością wrogów religii i narodowości. Spodziewamy się, że raz ostatni powiodło się czerwonym wywieść w pole krakowską pnbliczność i że już żaden halerz nie wpadnie do kieszeni socyalistów i na zasilenie chorego na suchoty „Naprzodu“.

Jarmark jesienny na konie w Krakowie rozpocznie się 22 w poniedziałek b. m. i potrwa pięć dni. Targ na konie robocze odbędzie się na Groblach 23 b. m.

Socyaliści u władzy. Z Marsylii, miasta francuskiego, dochodzą wiadomości, że inspektor skarbowy, wysłany tam dla szkontra kasy miejskiej, wykrył deficyt za rok 1902, w wysokości 2,600.000 franków, zdefraudowanych przez radnych socyalistów. Od czasu, jak socyaliści wyparli katolików z rady miejskiej, a całą władzę zagarnęli w swe ręce, to jest zaledwie od kilku lat, z majątku zdefraudowano 14 milionów. Bnrmistrz, znany przywódca socyalistów marsylskich, zaraz przy rozpoczęciu kontroli został z urzędu złożony i pociągnięty do odpowiedzialności, jako pierwszy defraudator.

Teraz rozumiemy, dlaczego socyaliści w ostatnich czasach postanowili ująć w swe ręce rządy gminne, gdzie się da. Socyalista Daszyński w czasie wyborów do krakowskiej rady miejskiej, mówił do żydów: „Już raz powinniście ująć ster rządów w wasze ręce“. Jakie to będą rządy, poucza przykład Marsylii.

Spór o „Morskie Oko“. Tatry są to najwyższe i najpiękniejsze góry w Polsce. Od kilkudziesięciu lat tysiące gości przybywa co rok do Tatr, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem, i podziwiać wspaniałe widoki. Jedną z najmilszych jest wycieczka do „Morskiego Oka“, czyli jeziora okolonego ponuremi górami, zasilanego wodą spadającą w srebrzystych strngach ze szczytów.

Od dawnych lat było „Morskie Oko“ własnością Polaków, a Węgrzy nie wiele dbali o skaliste góry i nie wszczynali sporu o granicę. Dopiero w ostatnich czasach, gdy prusak Hohenlohe nabył dobra w Tatrach, zaczęły się napady jego służby na górali, wreszcie przyszło do poważnego sporu między Węgrami a Polakami o posiadanie „Morskiego Oka“. My Polacy od wieków uważaliśmy tę część Tatr za naszą własność, przeto dziwnem i niesłusznem wydało nam się uroszczenie Węgrów. Postanowiliśmy dochodzić naszych praw. W tym celu ntworzono sąd, tak zwany rozjemczy, złożony z dwóch sędziów, jednego narodowości węgierskiej, a drngiego polskiej, i z naczelnego sędziego, zwanego superarbitrem, Niemca dra Winklera. Wszyscy Polacy z niepokojem w sercach oczekiwali wyroku. Po zbadaniu aktów i przesłuchaniu obrońców, przewodniczący wydał wyrok, przyznający nam posiadanie „Morskiego Oka“ wraz z obszarem 900 morgowym, a Węgrom tylko 30 morgów z obszaru spornego. Tak więc perła Tatr, „Morskie Oko“, już niezaprzeczenie należy do Polski. W Zakopanem wiadomość o wygranym procesie wywołała nieopisaną radość. Natychmiast urządzono pochód z pochodniami, wznosząc okrzyki na cześć zasłużonych osób w sprawie procesu i śpiewano pieśń:

Jeszcze Polska nie zginęła
Żyje plemię lasze,
Dobra sprawa górę wzięła:
„Morskie Oko“ nasze.

W niedzielę przed południem odbyło się dziękczynne nabożeństwo, podczas którego śpiewano „Te Deum laudamus“ w parafialnym kościele.

Straszna klęska gradowa nawiedziła dnia 31. z. m. powiat śniatyński. Wsie Trościaniec, Dżurów, Cuculin i część Rudnika wyglądają jakgdyby armia nieprzyjacielska przez nie przeszła. Wszystko, co jeszcze stało na polu niezebrane albo w kopach, zostało z ziemią zrównane. Grad był wielkości kurzego jaja i pokrył wszystko grubą warstwą. Drzewa są ogołocone z liści, a nawet z kory. Na polu i śladu nie zostało z jęczmienia, owsa i tytoniu, drób pobity walał się około obejścia. — Nie obyło się bez ofiar w ludziach, dotąd skonstatowano brak dwóch pastuszków. Jednego zwłoki znaleziono, drugiego dotąd nie można odszukać. Akcya ratnnkowa konieczna. Ponadto ponieśli włościanie znaczne szkody w pobitych oknach, powalonych budynkach gospodarczych i w drobiu, który uległ strasznej sile rozszalałego żywiołu o· ile nie skrył się dość wcześnie pod dachem.

Pożar. W gminie Łuczycach, tamtejszego powiatu, wybuchł w tych dniach w realności Mikołaja Wasyłyszyna pożar, który rozszerzywszy się następnie na sąsiednie budynki, zniszczył do szczętu 7 zagród włościańskich, szkołę i śpichlerz gminny. Szkoda, zrządzona pożarem, wynosi przeszło 25.000 k. i tylko na nieznaczną stosunkowo kwotę ubezpieczoną była w Towarzystwie „Dniestr“. Przyczyną wybuchu pożaru było bawienie się dzieci zapałkami.

Kalendarz „Prawdy“ na rok 1903 już jest na ukończeniu. Staramy się, aby wypadł jak najlepiej i zadowolił każdego. Dlatego radzimy naszym Czytelnikom, aby nie kupowali innych kalendarzy. Nasz kalendarz można już obecnie zamawiać. Cena dla prenumeratorów pozostanie prawdopodobnie ta sama, to jest 25 centów z przesyłką.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Rozwiązanie szarady z nru 37.: „sumienie“.

Ceny targowe.

W Krakowie dnia 16 września.

Pszenica 7·40—8·00; żyto 6·20—6·90; jęczmień 6·05—6·25; owies 6·15—6·25; rzepak 10·50—10·75 kor. za 50 kilo.

Kalendarz kościelny.

21. **Niedziela 18 po Ś.** ś. Mateusza ap. — 22. Poniedziałek, św. Tomasza z Wilan. — 23. Wtorek, św. Tekli p. męcz. — 24. Środa, ś. Gerarda biskupa m. — 25. Czwartek, śś. Kleofasa i Herkulana m. — 26. Piątek, ś. Cypryana m. i ś. Justyny. — 27. Sobota, Przen. św. Stanisława.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.